

Jan Maciejewski: Styczeń. Rąb drwa [OPOWIADANIE]

Rozkład jest jednym z elementów porządku. Zamiast za wszelką cenę go uniknąć, lepiej jest się wsłuchać w jego kosmiczną melodię. W przemijaniu, w jego wiejskim, naturalnym wydaniu, jest zawarte wielkie przygotowanie chrześcijańskiej wyobraźni do przyjęcia najtrudniejszych tajemnic wiary – pisze Jan Maciejewski.

Styczeń

Jednym z najbardziej przygnębiających aspektów życia w mieście jest wyrzucanie śmieci. Dochodzi tu do jakiegoś zerwania, które – jestem tego pewien – nie pozostaje bez konsekwencji dla całego naszego życia, dla losu każdego z miast. Jak wiele ciągów dalszych zostaje w ten sposób odrzuconych? Te wszystkie bezsensownie poupychane w plastikowych kubłach odpadki organiczne powinny przecież pracować dalej, użyźniać komposty, gnić w imię przyszłości. Rozkład jest jednym z elementów porządku. Zamiast za wszelką cenę go uniknąć, lepiej jest się wsłuchać w jego kosmiczną melodię. W przemijaniu, w jego wiejskim, naturalnym wydaniu, jest zawarte wielkie przygotowanie chrześcijańskiej wyobraźni do przyjęcia najtrudniejszych tajemnic wiary. Tu życie nie kończy się wraz z „zejściem do kosza”, ale wpada w ziemię, żeby za kilka miesięcy obrodzić kwiatami i owocami.

Jeszcze trudniejsze od wyrzucania obierków, skorupki i zgniłych owoców jest pozbywanie się wszystkiego, co mogłoby spłonąć. Papierów, kartonów, gazet czy – niezastąpionych w charakterze podpałki – tłustych papierków po maśle. Poświęcenie Prometeusza nigdy nie było mniej doceniane niż w dzisiejszych czasach. Wykradł on przecież bogom nie ciepło czy energię, ale ogień, a więc coś dużo większego. Tom Hodgkinson nazywa ogień ucztą dla zmysłów. „To ciepło, sztuka, muzyka i zapach w jednym. To teatr”. Z kolei angielski eseista E. V. Lucas twierdził, że ogień płonący na drewnie stoi w opozycji do systemów autorytarnych. Nic sobie bowiem nie robi z wielkiego biznesu i rządu w odróżnieniu od ogrzewania niepoetycznym, niezmysłowym gazem.

„Jak tu być błyskotliwym, jak tu być ludzkim w obliczu pieca gazowego? Nic miłego dla oka i nic pożytecznego dla wyobraźni. Płomień tak sztuczny i ograniczony, tak płytki i skąpy. Nie ma głosu, nie ma osobowości ani zdolności zaskakiwania; poddaje się kontroli kompanii gazowej, którą z kolei kontroluje parlament. Prawdziwy ogień zaś nie ma z parlamentem nic wspólnego. Prawdziwy ogień ma swoje kaprysy, ambicje i porywy, nieznane piecom gazowym”.

Już kilka razy zdarzyło mi się natrafić na wielkie, kilkudziesięciocalowe, ciekłokrystaliczne ogniska urządzone w mieszkaniach bloków czy w szeregowych, ogrzewanych przez kaloryfery domach. Z tęsknoty za prawdziwym ogniem „puszczano go z odtworzenia” na ekranach plazmowych telewizorów. Jak bardzo trzeba tęsknić, żeby robić coś tak bezsensownego?

Styczeń to dla starego świata czas uzupełniania zapasów drewna. Załatwianie, kupowanie, znajdowanie ognia. „Nie możesz – to znów Tom Hodgkinson – zapolować w nocy na leżące tu czy tam porcje gazu. Nie znajdziesz elektryczności na poboczu; elektryczność nie rośnie w zagajnikach. Można i trzeba ją kupować od kartelu – nie ma innego sposobu”.

Stary świat nie negocjował cen energii. Miał jej w sobie wystarczająco dużo, żeby znajdować ją dookoła siebie. Tym właśnie zajmował się w styczniu. Siekierzadzie roku.

Rąb drwa

Ogień łagodzi zimę

Owidiusz, „Lekarstwa na miłość”

Uniosła rękę. Od kilku dni porozumiewała się z nim w ten właśnie sposób. Ruch ten mógł oznaczać wszystko – głód, pragnienie, potrzebę fizjologiczną, nudę – na szczęście były jeszcze oczy. Kiedy rozmawia się ze sobą tyle lat głos przestaje być już potrzebny. To co najważniejsze, właściwą treść, przekazuje się wyrazem twarzy. Jakby się nie zmieniała i marszczyła, język, którym przemawia brzmi zawsze tak samo. Gra mięśni i światła wokół oczu nie może złamać własnych reguł.

Odezwał się ból w plecach, znowu w tym miejscu, powyżej lewej łopatki. Gdyby tylko był tak uprzejmy i pomógł jej przenieść się na drugi bok... Właśnie w ten sposób. Zostaniesz jeszcze ze mną? Wiem, że masz sporo zajęć. Ale w piecu jeszcze nie wygasło. Pięć minut wystarczy. Tu z boku jest trochę miejsca, posiedź.

Oboje mogli godzinami wsłuchiwać się w ten dźwięk. Kiedy posługiwali się jeszcze słowami, nazwali go „zalotami wiatru”. Musiał pozostać po drugiej stronie, podwójne okna były wystarczająco szczelne, wzmocnione jeszcze dodatkowo upchniętymi pomiędzy nimi szmatami i kocami, że ani trochę chłodu nie przedostawało się do środka. Tylko ten dźwięk, bucząco – zawodzący, jak skomlenie. Ale to słowo byłoby niesprawiedliwe. Wiatr miał swoją godność, a co jeszcze ważniejsze – urok. Nie chcieli go tu, w środku. Ale dobrze było wiedzieć, że pojawił się na zewnątrz. Ten styczniowy był zupełnie inny od pozostałych. Jakiś taki dziki i rześki, jak młody kochanek. Jeszcze niezrażony ani niezepsuty powodzeniem.

Wszystko to powiedzieli już sobie wystarczająco wiele razy, żeby teraz móc zgodnie go podsłuchiwać. Znowu się pojawił, jak zawsze ten sam. Wzruszająca wierność, nic sobie nie robi z ich starzenia i niedołęstwa. I pomyśleć, że wystarczyło tylko go nie wpuszczać, stać się niedostępnym i wyniosłym, żeby zmusić go do powrotów. Tylko siły przyrody potrafią być tak wytrwałe.

Pogładził jej dłoń na pożegnanie. Przekroczył próg, rozniecił ogień w piecu. Stos drew w rogu kuchni zrobił się niepokojąco niski. Przed wieczorem, zanim się ściemni, trzeba będzie wybrać się do drewnutni.

Lubi to miejsce, ten ruch i odgłos pękającego od uderzenia drzewa. Od kiedy jego żona przestała najpierw chodzić, a z czasem i mówić, coraz bardziej lubił każde z zajęć, których wymagał od niego dom. Dozował je sobie, jak jakąś zakazaną przyjemność, jak wypalane w młodości pokątnie, za stodołą papierosy. Teraz stodoły już nie było. Najpierw zmieniła się w garaż, potem w warsztat, a później jedno i drugie przestało być już im do czegokolwiek potrzebne. Przestali ruszać się z domu, a to co ich w nim otaczało, psuło się i rozpadało w rytmie i tempie ich własnych ciał. W pewnym momencie stwierdzili – porozumieli się niemo, bez słów, samym spojrzeniem - że dalsza walka z usterkami obu rodzajów stałaby się niestosowna. Byłaby jak pudrowanie zbyt widocznych zmarszczek. Zapadali się więc razem, w zgodzie i porozumieniu. Nie było w tym fatalizmu, a jeśli już, to tylko ten, z jakim mech zaczyna porastać zbyt długo leżący w jednym miejscu kamień, ukrywa go i otula. Zabezpiecza przed kopnięciami i innymi nieprzewidywalnymi zakrętami losu.

To samo robił z dwójką starszków rozpadający się dom i zarastający ogród. Wszyscy razem dziczeli, ale nie było w tym nic z degeneracji. Bardziej przypominało powrót, ostatni etap podróży biegnącej po okręgu. Wykonując teraz już wyłącznie niezbędne do przeżycia, przydomowe prace czuł się jak kapitan „Victorii”. Ostatniego statku z floty Magellana, jedyne którego udało się dotrzeć do domu po opłynięciu świata. Kiedy był młody, a nawet i później, jeszcze parę lat po ślubie, pragnął morza. Chwili, gdy budzi się chwilę przed świtem na pokładzie i jego nozdrza, myśli, ciało wypełniają się zapachem soli. Pokład faluje i nic dookoła nie jest pewne ani stałe. To, czego nie było w stanie zaoferować mu życie, przyniosło umieranie. Niepewność każdego kroku, falowanie ziemi pod nogami. Samotność, wpuszczająca przez furtkę ogrodu i drzwi domu naturę. Niczego nie mógł być pewien. Nareszcie był wolny.

Ustawił porąbane szczapy w rogu. Drzewo było dobre; wyschnięte i odleżane. Martwe nie tylko od zewnątrz, ale przede wszystkim od środka. Od kiedy parę lat temu dał się oszukać, był wyczulony na tym punkcie. Więcej nie pozwoli sobie wcisnąć ani gałązki świeżo ściętego drzewa. Soki będą krążyć w jego żyłach jeszcze przez wiele miesięcy, zamiast czystego, prawdziwego ognia wydostanie się z nich tylko mnóstwo dymu. Różnicę można poznać już po odgłosach. Zamiast wesołego strzelania odzywa się z wnętrza pieca syczenie i jęk wrzuconego żywca drzewa.

Ogień brzmiał melodyjnie na tle dobijającego się do okien i drzwi wiatru. Mężczyzna siedział, wpatrując się w szparę między drzwiczkami a ścianą pieca, tańczące płomienie opowiadały swoje historie. Jak ognie rozpalane na brzegach portów, przyzywające dawno już opłakanych żeglarzy. Nie wiadomo, czy miały odegnać ich duchy, czy rozniecić ostatnią nadzieję w ich wynędzniałych ciałach. Tak czy inaczej, jednym i drugim, opowiadały o dawno niewidzianym domu. Po latach spędzonych w dalekiej podróży jego istnienie mogło się wydawać jeszcze bardziej nieprawdopodobne niż tym, którzy zostali na lądzie – powrót zabłąkanego statku. A jednak, jesteś.

Gdyby stołek, na którym siedział nie chwiał się tak bardzo najpewniej zasnąłby wpatrzony w ogień. Zawstydził się widząc uniesioną rękę żony. Poczł ukłucie, wyrzut, jakby został przyłapany na prowadzącym do niewiadomego flircie. Kiedyś nie było w żadnym z codziennych zajęć miejsca na intymność. Ona zawsze wymaga przecież chwili czasu i odrobiny bezradności. Zgięcia wół dla złapania oddechu, spojrzenia dookoła siebie, kiedy nie starcza już sił i trzeba przysiąc na pieńku do rąbania drzewa. W młodości był tylko pośpiech i przemoc. Zażyłość

między nim, domem i wszystkim co się z nim wiązało, pojawiła się dopiero razem z osłabnięciem ciała. I oddawał się jej, ze wstydem i gorliwością, właściwym tylko ostatniej rozpuście.

Podszedł do łóżka. Przepraszająco pogładził wierzchem dłoni jej opadającą rękę. Tak sucha na zewnątrz, pełna była jeszcze życia. Usiadł na brzegu łóżka, specjalnie w ten sposób, żeby było mu niewygodnie. Aby tylko nie zasnąć, nie zejść z posterunku przed dopłynięciem do brzegu. „Noc spokojną i śmierć szczęśliwą” – wyrzucał z siebie całe życie w wieczornej modlitwie. Dopiero teraz tak naprawdę zrozumiał, o co w tym chodzi. Że śmierć jest rodzoną, nie tylko przyszywaną siostrą spania. Dochodziła piąta, za oknem gęstniała szarość, spojrzął w oczy żony. Wsłuchał się w melodię tańczącego w nich ognia. A jednak, jesteś.

Jan Maciejewski

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**